

 Harlequin® *Romans*®

MARGARET WAY
Zapisane w gwiazdach



Margaret Way
Zapisane w gwiazdach

Tłumaczyła
Elżbieta Chlebowska

Tytuł oryginału: The Australian's Society Bride

Pierwsze wydanie: Harlequin Romance, 2009

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Piotr Goc

Korekta: Urszula Gołębowska

© 2008 by Margaret Way Pty., Ltd.

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2010

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin
i znak serii Harlequin Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: Studio Q, Warszawa

ISBN 978-83-238-8226-8

ROMANS – 1060

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Leo, przecież wiesz, że wcale mnie tam nie chcą. Zaprośili mnie, bo nie wypadało inaczej – stwierdził Robbie, jej brat przyrodni. Jak zwykle rozparł się wygodnie na nowiutkiej kanapie, ciemna głowa na wysokim oparciu, długie nogi niedbale wyciągnięte na siedzeniu.

Wiele razy toczyli podobną rozmowę. Leona zareagowała niemal odruchowo.

– Wiesz, że to nieprawda – zaprotestowała na przekór faktom. – Jesteś świetnym kompanem, Robbie, atrakcją każdego przyjęcia. Poza tym grasz w polo w drużynie Boyda, co się liczy, no i jesteś świetnym tenisistą, moim najlepszym partnerem w grze podwójnej. Roznosimy na korce ich wszystkich.

Ich wszystkich, czyli cały klan Blanchardów, którzy liczną grupą pojawiają się na przyjęciu.

– Poza Boydem – stwierdził trzeźwo Robbie. – To unikat. W interesach jest nie do pokonania, IQ poza skalą dostępną zwykłemu śmiertelnikowi, świetny sportowiec, no i obiekt westchnień wszystkich pań. O czym jeszcze mógłby marzyć mężczyzna? Prawdziwy James Bond.

– Przestań mówić o Boydzie. Mnie się podoba ten nowy facet. – Jak zwykle usiłowała zamaskować swoje

uczucia do Boyda. Czy naprawdę nie ma sposobu, by się wyleczyć z tego głupiego zauroczenia? Opadła na kanapę obok Robbiego. – No dobrze, zgoda, trudno sobie wyobrazić kogoś bliższego ideału niż Boyd – przytaknęła niechętnie.

Robbie zachichotał i zepchnął na podłogę jedwabną poduszkę.

– Jesteś pewna, że się w nim nie kochasz? – Rzucił jej badawcze spojrzenie. Był obdarzony niesamowitą intuicją i rzadko udawało jej się go oszukać.

– To by dopiero był skandal! – Miała nadzieję, że nie oblała się kompromitującym rumieńcem. – Przecież jest moim dalekim kuzynem.

– Niedokładnie. Musiałabyś bardzo ponaciągać wasze parantele. Zresztą trudno się połapać w tych wszystkich zgonach, rozwodach i powtórnych ślubach w drzewie genealogicznym Blanchardów.

To prawda. Chwile chwały przeplatały się tu z grecką tragedią. Na przykład ona i Boyd – oboje stracili matki. Miała wtedy osiem lat. Matka Boyda, piękna Alexa, stała się wówczas jej przyszywaną ciotką i okazywała jej wiele serca aż do śmierci. Umarła, gdy Boyd miał lat dwadzieścia parę. Jego ojciec, Rupert, szef rodzinnego imperium, ledwo dwa lata później wziął sobie nową żonę, i to nie dystygowaną damę w stosownym wieku, ale ku zgorszeniu rodziny znaną z wyzywającego stylu życia rozwódkę, córkę jednego ze swoich starych kompanów i członka rady nadzorczej w koncernie Blanchardów. Nowa żona Ruperta była zaledwie parę lat starsza od Boyda, jego jedyne syna i dziedzica.

Rodzina przeżyła szok z powodu tempa, w jakim potoczyły się wypadki. Robbie w rozmowach prywatnych nazywał drugą żonę narzeczoną Frankensteina. Wielu członków rodu podzielało złośliwe przeświadczenie, że nowe małżeństwo Ruperta skończy się brzydkim rozwodem, zażartą walką w sądzie i ogromnym odszkodowaniem.

Krewni mieli jednak tyle zdrowego rozsądku, by zachować dla siebie swoje złośliwości. Jedynym wyjątkiem była Geraldine, starsza niezamężna siostra Ruperta, która słynęła z ostrego języka i zawsze mówiła, co myśli. Mimo to Rupert poślubił swoją wybrankę Virginie – w skrócie Jinty. Senior rodu Blanchardów był przyzwyczajony do tego, że jego słowo jest prawem. A jak się wkrótce okazało, Jinty także lubiła stawiać na swoim.

– Nie mówimy teraz o Boydzie, tylko o tobie – zwróciła uwagę Leona. – Naprawdę nie wiem, czemu się wiecznie samobiczujesz.

– Doskonale wiesz. Zawsze miałem niską samoocenę – westchnął. W jego ciemnych oczach dostrzegła tego samego zbuntowanego sześciolatka, którego pokochała czternaście lat temu. – Moim problemem jest to, że właściwie nie wiem, kim jestem. Carlo mnie nie chciał. Nawet nie walczył z matką o opiekę nade mną. Twój ojciec, a mój ojczym, jest dżentelmenem starej daty, ale pojęcia nie ma, jak mnie traktować. Widać, że nie spodziewa się po mnie niczego dobrego. Najdroższa mamcia nigdy mnie nie kochała. I wcale się nie dziwię. Przypominam jej o Carlu i nieudanym małżeństwie. W dodatku nie jestem prawdziwym Blanchardem. – Jego młodą twarz wykrzywił gorzki grymas. – Jestem kukułczym

jajem w tej rodzinie, emocjonalnie zaniedbanym adoptowanym synem.

Miał sporo racji, ale Leona nie mogła powstrzymać irytacji.

– Proszę, Robbie, daruj sobie tę psychodramę! – Opadła na fotel naprzeciwko, jakby nie była w stanie dźwigać ciężaru ustawicznego lęku o młodzieńca. – Musisz się tak rozwalać na mojej nowej sofie? – zapytała, choć w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko temu.

Robbie jak zwykle wyglądał nienagannie, a jego ubranie i fryzura świadczyły o wrodzonym smaku. Świetnie wiedział, że wymaga się od niego elegancji – rodzina ceniła schludny wygląd i dobre maniery – a mimo całego mał-kontenctwa potrafił dbać o własne interesy.

– Pokusa jest zbyt wielka. Twoja sofa jest wygodna i miękka. Masz świetny gust, Leo. Pod każdym względem jesteś super. A co ważniejsze, jesteś nie tylko piękna, ale i dobra. Bez ciebie nie przetrwałbym w tej rodzinie – bez mojej siostry i powierniczki, bez mojej opoki. Jesteś jedyną osobą, która nie uważa, że jeszcze wyjdzie ze mnie kawał łobuza.

– Oj, przestań! – zaprotestowała.

– Tak, tak – upierał się Robbie. – Wszyscy tylko czekają, aż będzie można powiedzieć, że jestem nieodrodnym synem Carla i zawsze się tego po mnie spodziewali. Z ich punktu widzenia najlepiej by było, gdybym wpadł pod autobus.

Jak zwykle trafnie ich ocenia, pomyślała przygnębiona. Nie mogła się powstrzymać, by nie wykorzystać tak dobrej okazji do wtrącenia paru słów na temat jego skłonności do gier hazardowych.

– Musisz przyznać, że twoje upodobanie do kart i wyścigów jest wystarczającym powodem do zmartwienia, Robbie. – Nie miała odwagi dodać narkotyków do listy jego grzeszków. Całkiem niedawno zrobiła mu na ten temat awanturę. Robbie włączył się w towarzystwie podobnej do niego złotej młodzieży, dla której jedynym celem w życiu była przyjemność, a właściwie to, co sami uważali za przyjemne. Z pewnością nie była to praca. Dowiedziała się, że palił marihuanę, jak wielu jego kompanów. Była prawie pewna, że do tej pory nie eksperymentował z innymi narkotykami.

Robbie, podobnie jak ona, zmagał się z problemami, które wiązały się z noszeniem nazwiska Blanchard. Oznaczało ono nie tylko prestiż, władzę i bogactwo, ale również emocjonalną presję, standardy i obligacje. Jednak w przeciwieństwie do niej Robbie nie był silny psychicznie.

Była jedyną osobą, której słuchał. Jego starsza siostra. Od lat nie myśleli o tym, że są rodzeństwem wyłącznie ze względu na ślub rodziców. Robbie mówił o niej „moja siostra”, a ona nie nazywała go inaczej niż „mój brat”. Brak więzów krwi był bez znaczenia. Jej ojciec adoptował Robbiego zaraz po tym, gdy ożenił się z jego matką, Delią. Ludzie, którzy nie znali ich historii, zawsze komentowali ze zdziwieniem: „Ależ wy wcale nie jesteście podobni”. Nic dziwnego. Robbie – ochrzczony jako Roberto Giancarlo D’Angelo – fizycznie przypominał swojego włoskiego ojca, podczas gdy ona była rudzielcem z porcelanową cerą i zielonymi oczami.

– Czysta secesja – skomentował kiedyś jej wygląd Boyd. Innym razem porównywał ją do bohaterek romantycznych

i sentymentalnych obrazów prerafaelitów – wiotkiej wiosennej nimfy leśnej z pięknymi długimi rudymi włosami, snującej się melancholijnie w powłóczystych szatach. Nie była w jego typie. Zazwyczaj spotykał się z eleganckimi brunetkami o długich nogach i kobiecych kształtach, podczas gdy ona była płaska jak deska do prasowania.

Nie myśl o Boydzie.

Świetna rada. Powinna ją wcielić w życie. Wystarczy, że od czasu do czasu muszą się spotkać twarzą w twarz.

– Obiecuję ci, że coś z tym zrobię, Leo – wyrwał ją z zamyślenia głos Robbiego. – Czy rodzinka nadal obgaduje mnie za plecami?

Przy każdej okazji, pomyślała. Pełne zgorszenia komentarze starszego pokolenia. Delia, jego matka, leżąca krokodylę łyż nad ostatnimi wyskokami syna marnotrawnego.

– Nie lekceważ Boyda – ostrzegła. – Wszędzie ma oczy i uszy.

– Uuu! Wielki Brat cię śledzi! – zaśmiał się, autentycznie rozbawiony, ale Leo umiała czytać między wierszami. Jego cyniczne kpiny nie zmieniały faktu, że Boyd uosabiał to wszystko, czym chciałby być Robbie. – Godny potomek wielu pokoleń milionerów, a teraz nawet miliarderów. Oto mężczyzna dla ciebie.

– Sama nie wiem. – Leo wydeła piękne usta.

– Opamiętaj się wreszcie. – Uśmiechnął się przekornie i nagle wyprostował ze zręcznością i gracją uniwersyteckiego mistrza w gimnastyce. – Może to twój książę z bajki...

– Na pewno nie – zaprotestowała rozzłoszczona.

– Dobrze się maskujesz, ale znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Podziwiasz go jak wszyscy. Zresztą łącznie ze

mną. Czasem mnie doprowadza do szału, ale wiem, że ma dobre intencje. Przerasta mnie o dwie głowy. Jest ulepiony z innej gliny niż my, zwykli śmiertelnicy. Urodzony bohater. Na mnie wszyscy patrzą jak na potencjalnego nieudacznika. Nic dziwnego, że cała rodzina uwielbia Boyda. Jest pewnie najbardziej pożądaną partią w kraju, kobiety tracą głowę na jego widok, tyle osiągnął, a jeszcze nie ma trzydziestki...

– Ma. Od miesiąca – przerwała Leona. Nie miała siły słuchać tej wyliczanki przymiotów Boyda.

– Coś takiego! Czemu mnie nie zaproszono na przyjęcie urodzinowe?

– Nie było przyjęcia. Solenizant nie miał czasu.

– Nic dziwnego. Prawdziwy z niego pracoholik. Ale za to jakie rezultaty! Już teraz mógłby przejąć rodzinne imperium po Rupercie. Boyd i Jinty – ta kobieta zdecydowanie nie jest moją faworytką – to jedyne osoby w całym klanie, które nie boją się starego Ruperta. A żeby było dziwniej, ten bezduszny czort ma do ciebie słabość. To jedyne, co w nim lubię. Choć on mną pogardza.

– Nieprawda. – Leona potrząsnęła energicznie głową, chociaż wiedziała, że Robbie się nie myli. Despotyczny Rupert zwykł mawiać, że chłopak Delii do niczego się nie nadaje. – Zatrudni cię w firmie, kiedy tylko skończysz studia.

Robbie był naprawdę bardzo bystry. W tym także miał rację: Rupert zawsze okazywał jej zainteresowanie, i to od czasu, gdy była małą dziewczynką. Innych ludzi onieśmiał chłodem i bezwzględnością, a wobec niej był serdeczny i delikatny, szczególnie w tych koszmarnych dniach, gdy

straciła matkę. Serena zginęła w tragicznym wypadku podczas konnej przejażdżki w posiadłości Brooklands. W tych odległych czasach jej prawdziwą opoką stał się Boyd, sześć lat starszy od niej, już jako czternastolatek wybitnie przystojny i mądry. Wziął ją pod swoje skrzydła, jakby była zaśląkanym brzydkim kaczątkiem. Opiekował się nią w czasie rodzinnych uroczystości, bez żadnego przynaglania ze strony dorosłych. Leona patrzyła wówczas w niego jak w słońce. Oczywiście, wyrosła z tego dziecinnego uwielbienia dla dawnego idola. Wtedy jednak darzyła go bezkrytyczną adoracją, jakby był wszechmocnym bóstwem.

Nie śmiała patrzeć mu w oczy. W jego towarzystwie pociły jej się ręce ze zdenerwowania, ale też zapierało jej dech w piersiach ze szczęścia. Stanowił prawdziwe wyzwanie, dla niego starała się wspinać na szczyty dziecięcego intelektu. Cierpiała przez niego prawdziwe udręki, a jednocześnie przyciągał ją jak magnes. Wszystko ją fascynowało – w równej mierze osobowość chłopaka, co niesamowite niebieskie oczy o przeszywającym spojrzeniu.

Gdy chodziło o Boyda, zamieniała się w kłębek nerwów. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek związku między nimi. Zresztą chyba nigdy nie spojrzał na nią z tego typu zainteresowaniem. A właściwie jak on na nią patrzył? Czasem sprawiał, że czuła się przy nim wyjątkowo piękna – jako człowiek i jako dziewczyna. Czasem zdawało jej się, iż stara się ją odepchnąć. Ostry język, lodowate spojrzenie. Cóż, jej szczenięca adoracja z pewnością nie była odwzajemniona.

– Myślę, że zapraszają mnie, aby mieć na mnie oko. – Głos Robbiego znowu wyrwał ją z zamyślenia.

– Wszystkich nas mają na oku – odparła lekko.

– Zupełnie jakbyśmy należeli do rodziny królewskiej! Przynajmniej tyle dobrego, że doceniają, jaka jesteś mądra i utalentowana. Twoja uroda stanowi dodatkowy plus. W dodatku potrafisz się z każdym dogadać i wszyscy cię lubią.

– Poza Boydem – mruknęła z żalną nutą w głosie.

– Pewnie ma jakiś bardzo istotny powód – zaśmiał się Robbie. – Sam się zastanawiam, czy to wasze ustawiczne czubienie się jest szczere? A może to pozory, teatr odgrywany dla rodziny?

– Też mi teatr – prychnęła. – Po prostu gramy sobie na nerwach. Wydobywamy z siebie najgorsze cechy. – Nie da Robbiemu tej satysfakcji, że trafnie odgadł. Wystarczy, że sama dręczy się myślą o potajemnej miłości do Boyda.

– Bylibyście świetnie dobraną parą – oznajmił Robbie, jakby to przemyślał. – Boyd potrzebuje energicznej rudowłosej kobiety. Jesteś jedyną osobą, która potrafi go przywołać do porządku. Kiedyś cię do tego przekonam. Ale teraz na mnie już czas.

– Mam nadzieję, że nie wybierasz się na wyścigi? – upewniła się. Lepiej sprawdzić. W końcu to sobota, i sam środek wiosennego karnawału.

– Nie robię nic zdrożnego. – Smagła twarz Robbiego poczerwieniała. – Zabieram Deb. Będzie też Barrington i jego najnowsza flama. Jest ładne popołudnie. Dziewczyny chcą się wystroić i zabawić. Dziwię się, że ciebie tam nie będzie. Śliczny dwulatek starego Rupe'a na pewno wygra. Postawić na niego w twoim imieniu?

Leona pokręciła głową, wprawiając w ruch kosmyki, które wymknęły się z wysoko upiętego wężła.

– Nie mam najmniejszego pociągu do hazardu. Nie gram na pieniądze. Nie boję się ryzyka i działania na intuicję, ale w innych dziedzinach życia. Pieniądze rodzą pieniądze tylko dla ludzi pokroju Ruperta. – Pocałowała go czule w policzek. Była wysoka jak na kobietę. – Na twoim miejscu skrupulatnie liczyłabym każdy wydany grosz. – Robbie dostawał hojne uposażenie od jej ojca, ale miał wyjątkowo lekką rękę. Często prosił ją o pożyczki. Czasem je zwracał. Dużo częściej tego nie robił.

Odprowadziła go do drzwi apartamentu z oszałamiającym widokiem na port w Sydney. Mieszkanie było prezentem „od rodziny” z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Wyrazem ich uznania dla jej osiągnięć, demonstracją, że przynosi chwałę rodowemu nazwisku. Nie było by jej stać na tę lokalizację, chociaż nie mogła narzekać na swoje apanaże po ostatnim awansie na osobistą asystentkę Beatrice Caldwell, prawdziwej wyroczni w świecie mody i szefowej Domu Mody Blanchardów.

„Zasługujesz na to, dziewczyno. Masz oko, tak jak ja!”. Niezwykłe słowa w ustach władczej i nieskorej do pochwał Beatrice.

– Przyjdiesz na przyjęcie? – upewniała się jeszcze. – Nie zapomnij potwierdzić. – Dobrze maniery nade wszystko.

– *Naturellement!* I to już wyczerpuje moją francuszczyznę na dzień dzisiejszy. Ale tylko dla ciebie, Leo. Dla nikogo innego.

– Nie bądź niezdolny, kochanie. – Objęła go siostrzanym opiekuńczym gestem i uściśkała.

– Może miałbym lepszy charakter, gdyby Carlo mnie nie porzucił – przyznał Robbie ponuro. – Ale nie mógł się doczekać, żeby wrócić do Włoch, ożenić się po raz drugi i spłodzić kilkoro dzieci.

– Miejmy nadzieję, że jest dla nich lepszym ojcem niż był dla ciebie. – Głos Leony zabrzmiał wyjątkowo surowo jak na nią. Robbie był jej oczkiem w głowie i potępiała wszystkich, którzy go skrzywdzili. Była w nim jakaś wewnętrzna pustka, obolałe miejsce. Delia sprawiała wrażenie, jakby była pozbawiona uczuć macierzyńskich w stosunku do swego jedynaka. Może gdyby był podobny do niej, odziedziczył niebieskie oczy i jasne włosy...? Carlo D'Angelo nigdy się nie kontaktował z pierworodnym synem, nie podjął żadnych starań, by Robbie poznał swoje przyrodnie rodzeństwo. – To jego strata, kochanie – zapewniła go, wracając do roli troskliwej starszej siostry. – Musisz uwierzyć w siebie, tak jak ja w ciebie wierzę. – A przede wszystkim wziąć się w garść, dodała w duchu. Opierała dłoń na ramieniu brata i wyczuła, że zadrżał, jakby tłumił jakieś reakcje, których nie chciał przed nią ujawniać.

– Wszystko w porządku? Powiedziałbyś mi, gdybyś miał jakieś problemy?

– Jasne. – Zaśmiał się krótko. – Leo, kochanie, do zobaczenia w przyszły weekend w Brooklands.

– Weź ze sobą rakietę. Pokażemy im, gdzie raki zimą, jak zawsze.

– Miła myśl, prawda? – Uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Bardzo.

Gdyby tylko wszystko było w porządku, pomyślał z przygnębieniem, kierując się do windy. Był coraz bardziej

niespokojny. Czuł fizyczny ciężar na żołądku. Leo jest taka cudowna. Kocha ją całym sercem. To chyba jedyna osoba na świecie, którą kocha. W końcu zabrakło mu odwagi, by ją poprosić o pożyczkę. Kolejną. Jedną z wielu. Wciąż jest jej winien pieniądze, ale teraz desperacko potrzebował gotówki i coraz bardziej bał się ludzi, z którymi się zaczął zadawać.

Nazywając rzecz po imieniu, byli zwykłymi bandytami, nawet jeśli należeli do tak zwanych wyższych sfer. Bóg raczej wie, co mu robią, jeśli im podpadnie. Miał przerażające uczucie, że pułapka, w którą wpadł, właśnie się zatrząskuje. Leo miała rację. Skłonność do hazardu, kolejna cecha odziedziczona po Carlu – czy w ogóle odziedziczył po nim coś dobrego? – wtrąciła go w przerażającą spiralę rosnącego zagrożenia. Jedyna nadzieja w wyścigach i niesamowitym dwulatku ze stajni starego Rupe’a – to niemal pewniak. Postawi na niego parę tysięcy, które zachomikował na czarną godzinę.

Robbie odpędził dręczące go czarne myśli charakterystycznym machnięciem ręki i zaczął pogwizdywać znaną melodyjkę, by dodać sobie animuszu.